

KŁAMSTWO

Leżał na wznak, oczy miał jeszcze zamknięte.

Pomyślał, że to źle, gdy ktoś zaśnie w pełnym słońcu, na ciepłym piasku plaży. Gorąco południa sięga głęboko, przepala czaszkę, wsiąka w kostny szpik, wyciska swoje piętno w każdej komórce ciała. Słońce jest groźne.

Może dlatego nawiedził go zły sen?

Spróbował go sobie przypomnieć, ale myśli były odporne, obrazy nie dawały się tak łatwo wywołać z pamięci. Wiedział tylko, że w tym śnie był zupełnie sam. I to było straszne — sam.

Zaczął powoli rozchyłać powieki: skrawek błękitu, promienie słońca łamią się na rzęsach... „A więc niebo jest” — pomyślał i już z większą pewnością otworzył oczy szeroko. Niebo było na swoim miejscu.

Leżał z twarzą przechyloną na lewą stronę i słońce grzało jeden tylko policzek. Zauważył je kątem oka i zdziwił się: słońce wcale nie oślepiało.

— Emi — powiedział.

Spróbował usłyszeć jej oddech, skupił uwagę, lecz czuł tylko szum krwi pulsującej w jego własnych skroniach.

„Nie powinienem był zasypiać w samo południe” — pomyślał znowu. — Stanowczo nie powinienem. Jednak ciepło rozleniwia — i to też było prawdą.

— Emi, śpisz? — zapytał.

Czekał długo, lecz spała widocznie, gdyż nie dosłyszał żadnego szmeru.

— Znowu będę cię musiał obudzić — mówił sam do siebie, walcząc z sennością. — Jak to się dziwnie składa, że zawsze zasypiamy razem i zawsze ja pierwszy się budzę. Usiadł i poczuł na plecach mrowienie piasku osypującego się z włosów.

— Wiesz, Emi, kiedy się budzę, jezioro jest zawsze inne. Może to śmieszne, ale tak mi się zdaje, jakby ktoś wymazywał z jego Obrazu pewne fragmenty i zamieniał je innymi czekając tylko ze spleczeniem figla na moment, gdy ja odwrócę uwagę. Uśmiechnął się do jakiegoś przelotnego wspomnienia i zamknął oczy.

— Teraz, na przykład, zamknąłem oczy — powiedział. — Lecz dobrze pamiętam, jak wyglądało niebo... Nad samym horyzontem zaległo pasmo wyblakłe, ale im wyżej — tym więcej czystego błękitu. Całe niebo odbijało się w jeziorze i właściwie gdybym nie wiedział, że leżymy na brzegu, mógłbym przypuścić, że unosimy się na jakiejś latającej wyspie gdzieś wysoko... Po prostu gdzieś bardzo wysoko.

Przyszło mu na myśl, że plecie głupstwa, ale skoro Emilia spała, nie miało to większego znaczenia.

— Posłuchaj, teraz doliczę do trzech i otworzę oczy. Raz, dwa... Słońce świeciło w twarz, pod powiekami widział jakieś pyłki krążące w purpurowych przestworzach.

— Trzy.

Spojrzał prosto w słońce i znów się zdziwił, że grzejąc nie oślepiało wcale.

Przeniósł wzrok nad jezioro.

— Emi, miałem rację! — zawołał uradowany. — Tam na lewo jest obłok, zupełnie nisko nad wodą. Myślisz, że niezbyt uważnie patrzyłem? Nie, jego tam naprawdę nie było... Obłok wydał się, jak wypełniony wiatrem żagiel.

— Jego tam przecież nie było... Uśmiechnął się, ponownie zamykając oczy.

— Uważaj, Emi. Teraz doliczę do dziesięciu i spojrzę na ciebie. Ty też zawsze jesteś inna, kiedy się gniewasz i śmiesz, kiedy jesteś poważna, nawet wtedy, gdy śpisz. Obrócił się całym ciałem w jej stronę i zaczął liczyć powoli.

— Raz... dwa...

Kiedy dotarł do pięciu, ogarnął go lęk, że Emilia się nagle przebudzi, wybuchnie śmiechem i znowu nazwie go małym głuptasem, skończył więc już szybko i spojrzał przed siebie. Piasek był żółty, iskrzący się w słońcu okruchami białych muszelek, które zdawały się tajać w chybotliwym od gorąca powietrzu niczym płatki śniegu zabłąkane w środku upalnego lata.

— Emi... — wyszeptał.

Wąskie pasmo plaży zawijało się pętlą brzegu aż po daleki horyzont. Wyciągnął rękę i dotknął miejsca, gdzie zostawił ją śpiącą. Większe wgłębienie — tutaj była jej głowa, niżej ramiona i plecy, dalej ręce. Głęboki dołek — odcisk łokcia, którym podparła się wstając.

— Emi! — krzyknął zrywając się z ziemi.

Chwilę stał nieruchomo i tylko w jego piersi narastał łomot serca.

— E-mi-i!!!

Rzucił się w stronę jeziora. Brzeg suchy, potem wilgotny. Chłodne bryzgi uderzyły go w twarz. Oblizwał wargi. Woda była ciepka i słona, zdawało mu się, że pod językiem wyczuwa nie rozpuszczone kryształki soli.

Stanął w miejscu, łapiąc ustami powietrze. Pamięć miał dobrą — woda w jeziorze nigdy nie była słona. Szarpnął się do tyłu i wyskoczył na brzeg.

Za plażą zieleniały wzgórza, wiechcie pożółklej trzciny, wyschłego sitowia przesłaniały ocean leniwie kołyszących się traw. Ruszył w ich stronę.

Biegł nie zważając na klujące osty i żdźbła trawy zawzięcie tnące bose stopy. Między porośniętymi szalwią pagórkami leżały żółte łysiny nawianych piasków. Przypadał do każdego pasemka, daremnie wypatrując śladu stóp Emilii, wdrapywał się na szczyty wzniesień, próbując z ich poziomu ogarnąć wzrokiem jak największą przestrzeń, i ciągle wołał:

— Emii!!... Ee-mi-i!...

Niekiedy był już pewien, że dostrzeżę jej włosy, jasne i sypkie na wietrze, lecz zawsze okazywały się tylko złudą, zakwitła kępami złotych mleczy nadzieją. Mimo to biegł dalej, z chrapliwym oddechem wspinał się na wzgórza i pędził w dół po ich skłonach, aż trawy naznaczyły jego bose stopy sokiem zielonych liści.

Zatoczył szeroki krąg wokół miejsca, gdzie leżeli na plaży, lecz nigdzie nie trafił na ślady wiodące od brzegu do domu. Słońce prażyło piasek, budząc drżące lśnienia w kryształkach kwarcu — nie mógł przeoczyć najdrobniejszego śladu.

Świadomość, że stało się coś nieodwracalnego, dotarła do niego dopiero wtedy, gdy na karku i nagich udach poczuł lepki dotyk potu. Osłupiałym wzrokiem patrzył daleko przed siebie. Jeszcze raz oblizwał wargi i teraz nie wiedział już, czy woda w jeziorze naprawdę była słona, czy też wyczuwał językiem gorzyc własnego potu.

Woda w jeziorze...

Zacisnął pięści.

Woda w jeziorze...

Przełknął ślinę i wydało mu się, że pije wodę: klęczy na samym brzegu i złożonymi w czarę rękoma zagarnia łamliwe fale, i nie zważając na piasek, łapczywymi haustami, pije wodę.

Wodę z jeziora...

— Tam nigdy nie było wody! — krzyknął przeraźliwie. — Nigdy, nigdy...

Chciał wołać dalej, bez ustanku, zagłuszając szamoczące się pod czaszką myśli, lecz wyschlym gardłem targnął kaszel, więc tylko ścisnął głowę rękoma i zataczając się poszedł w stronę brzegu.

— Emi, przecież tam nigdy nie było wody — powtórzył szeptem.

Słońce załśniło na wilgotnych kamieniach. Opuścił się na kolana i klęcząc na samym brzegu począł zagarniać łamliwe fale złożonymi w czarę rękoma i, nie zważając na zmacony

piasek, pił wodę. Słodką, nie znającą goryczy soli wodę. Zaspokoiwszy pierwsze pragnienie otarł wargi wierzchem dłoni i podniósł się z kłęczek. Głośny plusk targnął nim jak napiętą sprężyną. Zdażył pochwycić oczyma niknącą pod powierzchnią wody iskrę rybiej łuski i półprzezroczystą, ostrą płetwę, gdy ryba uderzeniem ogona rozproszyła odbicie samotnego obłoku.

Odgarnął zlepione potem kosmyki włosów i kładąc chłodną jeszcze dłoń na rozpalonych skroniach pomyślał, że przecież nie jest sam — w jeziorze były ryby.

Znowu usłyszał plusk, tym razem bliżej. Błysk w powietrzu i zimna pięść uderzyła go w pierś.

Zatoczył się z przestachu, ale to też była tylko ryba. Upadła aa piasek plaży i prężąc kolczasty grzbiet rzuciła się między krągłymi ziarnami otoczków.

— Biedna — powiedział, jakby mogła go słyszeć i rozumieć.

— Przecież piasek jest dla nas, czemu nie pływasz tam, gdzie najgłębiej?

Pochylił się i po kilku nieudanych próbach pochwycił rybę w ręce. Już chciał cisnąć ją z powrotem do wody, jak najdalej od brzegu, gdy usłyszał głos.

Ledwie uchwytny szept unosił się w powietrzu, nie dochodząc z określonego miejsca, lecz właśnie spływając powietrzem, zewsząd.

Znajomy głos.

„Tu-u-taj... s-sły-sz-ysz? D-dla-cz-cze-go mil-cz-ysz?... J-jes-stem t-u-u-taj... Pią-t-ty pa-ar-sek p-po nor-mal-al-nej od Ros-sa d-do-o ek-lip-ty-ki...”

Pod palcami czuł boczne płetwy i twarde wyrostki skrzeli po bokach rybiej głowy. Spojrzał na trzymaną w ręku rybę: była pozbawiona oczu, zamiast ich wyłupiastych źrenic płaską głowę ujmowały dwie zrogowaciałe płytki, spod których wyciekał zielonkawy śluz. Kiedy mimowolnie dotknął zgrubiałych narośli, ciecz popłynęła obficie, zlewając boki ryby lepkim osoczem.

Otwarty szeroko, bezzębny pysk poruszał się miarowo, w takt belkotliwych słów.

„...Szu-u-kaj... tu-u... P-pią-ity pa-ar-sek... as-s-soc-jac-ja-a dru-giego ra-mien-nia...”

Przejęty wstrętem odrzucił rybę najdalej jak tylko mógł i starannie opłukał palce. Na prawym kciuku spostrzegł zieloną plamkę, druga ledwie znaczyła się na przegubie lewej ręki.

Jego uwagę przyciągnęła zrazu ta na kciuku. Spróbował ją zmyć, ale uparcie trzymała się naskórka, nie blaknąc nawet.

Podniósł dłoń przed same oczy i stwierdził z przerażeniem, że zielone znamię rozpełza się wzdłuż zmarszczek skóry, naciekami zachodząc pod paznokieć, a całą dłoń powlekając jadowicie zielonkawym nalotem.

— Moje ręce — wykrztusił.

Zaczął się cofać powoli od brzegu wyciągnąwszy przed siebie, jak najdalej od twarzy, rozcapierzone palce obu rąk. Zieleń objęła nadgarstki, przesuwała się coraz wyżej i nie był to już barwnik, co z wierzchu tylko skaził skórę, lecz zielone tętno krwi, zwojami żył wracającej z powrotem do serca.

— Nie-e! — wrzasnął przeraźliwie cienkim głosem i odskoczył od wody.

Jego twarz wykrzywił grymas. Tężejąca w zwierzęcym przerażeniu twarz obrzmiała nagle sinymi fałdami skóry, zwisła ku dołowi, nisko, aż do ziemi. Plamista śniedź na nagim ciele zeskorupiała chrzęstem chitynowej łuski, wypięła przeciw słońcu kolczasty garb grzbietu. Zataczając się na nieporadnych, spiętych błoną łapach biegł wciąż dalej i dalej, aż ślad wryty w piachu przez włokący się za nim jaszczurzy ogon urwał się na kamienistym dnie dawno wyschłego strumienia.

Nie pamiętał, jak długo leżał nieprzytomny, lecz kiedy znowu otworzył oczy, słońce chyliło się ku zachodowi. Jeszcze zanim je dostrzegł, długo nie odważał się na otworzenie

oczu. Czekał, a minuty płynęły powoli, nie oznaczone tykaniem zegarów ani wewnętrznym szmerem elektronicznych bloków, lecz rejestrowane jakimś mechanizmem podświadomości.

Wreszcie zaczął rozchyłać powieki.

Najpierw zobaczył skrawek błękitu. Ukośne promienie słońca łamały się na rzęsach...

„A więc niebo jest” — pomyślał i już z większą pewnością otworzył oczy szeroko.

Niebo było na swoim miejscu.

— Emi... — powiedział.

Gdzieś obok jego głowy wiatr zaszeleścił miłym piaskiem.

— Emi, śpisz? — zapytał.

Teraz nie było nawet wiatru. Zdawało mu się, że całym ciałem wyczuwa rosnącą wkoło ciszę pełzającą jak oślizły płaz, natrętą, niespokojną, zarazem martwą i żywą.

— Znowu będę musiał cię obudzić — mówił sam do siebie wiedząc, że Emilia śpi i nie może go słyszeć. — Jak to się dziwnie składa...

Urwał w połowie zdania i wstrzymał oddech. Wróciła mu pamięć.

Ociężały podniósł się z ziemi i stanął, jak nieporadne dziecko szeroko rozstawiając nogi. Bojaźliwie przyjrzał się swoim ręką — pod opaloną na brąz skórą ledwo znaczyły się błękitne nitki naczyń krwionośnych. Splótł palce i ścisnął je z całej siły. Ból wrócił spokój.

Łóżyskiem wyschłego strumienia powłókł się na północ, gdzie niebo osiadło stężalym błękitem, gdzie stał jego dom. Ich dom.

Powietrze powiało chłodem. Wdychał je pełną piersią, rozsmakowywał każdym oddechem. Z pór doby najbardziej lubił wieczory, wygasanie upalnego dnia...

„A Emi kocha poranki — pomyślał. — Lubi wczesne wstawanie, na długo przed świtem, kiedy niebo od wschodu zmienia barwy jak kameleon, blaknie miękkim oparem porannych mgieł, aby obudzić ciepło wychylającego się zza horyzontu słońca...”

Szedł powoli, uważnie patrząc pod nogi. Kiedy znalazł się w miejscu, gdzie, jak dobrze pamiętał, po raz ostatni dostrzec można gładzinę jeziora między zboczami dwóch wzniesień, odwrócił się i spojrzął za siebie.

Jeziora nie było.

Od chwili gdy szedł tędy razem z Emilią, z domu na plażę, jedyny prześwit zasłoniły wyrosłe wysoko olszyny. Szedł tą drogą trzymając Emilię za rękę i było to tak niedawno, jeszcze dzisiaj z samego rana. A przecież olszyny miały grube, starczo skrecone i porośnięte mchem konary.

— Dlaczego? — zapytał sam siebie zaciskając pięści, aż paznokcie do bólu wpiły się w dłonie. Długo stał nieruchomy, jakby w nadziei, że drzewa odmienia swój wiek, lecz kiedy zrozumiał daremność tego oczekiwania i zrezygnowany chciał ruszyć dalej, oczy napotkały niespodziewanie znajomy kształt. Nie potrafił od razu rozpoznać. Trawa kołysała się, zwodniczo drżało powietrze, rozpromienione główki mleczy mrugały wysypaną w trawę plejadą żółtych słońc. Poznał Emilię. Pochylona zbierała kwiaty. Miała na sobie ulotną jak przędza babiego lata sukienkę.

— Emi — wyszeptał.

Poczuł w piersi przyływ jakiejś fali, którą lękał się nazwać tkliwością, i przypomniał sobie szalony bieg przez plażę, beznadziejne poszukiwanie śladu jej stóp, który zapomniawszy zostawić na pochyłościach wydm.

Teraz był spokojny.

Podszedł do niej, zupełnie blisko, aż zobaczyła jego cień rzucony na trawę promieniami niskiego słońca. Podniosła twarz i uśmiechnęła się leciutko, najpierw oczyma, potem koniuszkami warg. Na wyciągniętej dłoni podała mu kilka zerwanych mleczy. Jej dłoń była wąska, a palce wysmukłe i przezroczyste jak воск. Ostrożnie wziął żółty kwiat.

— Niepokoilem się o ciebie — powiedział. Roześmiała się głośno i wstrząsnęła głową, aż się przestraszył, że jej włosy pofruną w powietrzu, niczym porwany wiatrem śnieżny puch

dmuchawców.

— ‘Ciagle taki sam głuptas z ciebie.

Nie potrafił się gniewać, gdy nazywała go głuptasem. Tak było zawsze i zdążył się przyzwyczaić.

— Nie powinnaś oddalać się nie uprzedziwszy mnie przedtem — powiedział znając z góry jej odpowiedź.

— Wiesz przecież, że odejść daleko nie mogę.

Milczał.

— Przecież... zawsze będziemy razem.

— Wiem.

Wspięła się na palce i koniuszkiem nosa musnęła jego szorstki policzek.

— Nie gniewasz się już? — spytała.

Zawahał się.

Emi była maleńka, głową nie sięgała nawet jego ramion. Patrzył w milczeniu. Mógł tak godzinami śledzić jej poruszenia, wędrować spojrzeniem wzdłuż drobnych ramion i piersi, wąskich bioder, aż po palce wiecznie bosych stóp. Znając ciężką niezręczność swoich dłoni wolał tylko oczyma pieścić brzoskwiniowy meszek jej policzków i dopiero wieczorami, gdy mrok zrównywał proporcje ich twarzy i rąk, zbierał się na odwagę i wplatając palce w jej włosy pokrywał całą natarczywymi, nigdy nie zaspokojonymi, jak pragnienie Tantala, pocałunkami. Tylko nocą byli sobie równi.

— Już nic — powiedział.

Emi spojrzała na niego posmutniałymi nagle oczyma.

— Dlaczego nie mówisz wszystkiego? Pochylił głowę. Czyż mógł w kilku słowach wyrazić strach, który pognał go między wydmy w dyszące żarem godziny południa, czy mógł słowami nazwać przyczyny, które nauczyły go okłamywania własnych myśli? Zastanawiał się tak długo, aż znalazł wreszcie te słowa.

— Dzisiaj byłem sam — powiedział.

— Sam? Skinął głową.

— To... bardzo boli?

Chciał przemilczeć to pytanie albo wybuchnąć śmiechem, mówić o czymś innym, byle nie wyjawiać prawdy, lecz wiedział, że go zrozumie.

— Bardzo — odparł cicho, jakby w obawie, że ktoś niepowołany dosłyszy przeznaczone tylko dla nich dwojga słowa. — Może czują to ludzie odchodzący tam... Ruchem głowy pokazał kierunek w górę.

— Gwiazdy? — spytała lękliwie.

— Gwiazdy — potwierdził.

Poczuł na piersi dotyk jej drobnych, niewydoroślałych jeszcze dłoni.

— Ale my... zawsze będziemy razem?

— Zawsze — powiedział twardo akcentując sylaby. Pochylił się nad Emi i musnął wargami jej włosy. Potem wyprostował się i odetchnął pełną piersią.

— Robi się chłodniej — powiedział. — Czas wracać. Słońce wsparło dolną krawędź dysku o wierzchołki drzew zasłaniających widok na jezioro.

— Widzisz, jakie czerwone? — spytała Emi.

— Czerwone... — powtórzył z roztargnieniem. — Będąc dzieckiem lubiłem patrzeć na świat przez kolorowe szkiełka.

— Dziwna ciekawość.

— Może i tak — uśmiechnął się: Emi jak zwykle miała rację.

— Zebrałem całą kolekcję: zwykłe okruszki butelkowego szkła i zdobyte z wielkim trudem szkiełka, przez jakiegoś urwisa wydłubane z kaplicznych witraży, albo odpryski szpitalnych naczyń, którymi wysadzano krawędź muru otaczającego klinikę w naszym miasteczku.

Urwał na chwilę i pomyślał, że od tamtego czasu nic się właściwie nie zmieniło.

— Gromadziłem je w tajnym schowku, na strychu starego domu, gdzie mieszkałem z matką — ciągnął. — Były poukładane według odcieni następujących po sobie w tęczy, od fioletu do prawie czarnej czerwieni... Zbierałem je bardzo długo, aż pewnego dnia jakiś mężczyzna, co roku odwiedzający matkę, podarował mi surowy, nie oszlifowany bursztyn. Pamiętam, pora była wtedy jesienna, padał deszcz i niebo całymi tygodniami zasnuwały chmury. Długo musiałem czekać, przez ten czas pracowicie polerując kamień, zanim ukazało się spoza nich słońce. Wtedy z niecierpliwością pobiegłem na strych i przez małe okienko w dachu spojrzałem na słońce przykładając do oka soczewkę skamieniałej żywicy. Słońce było wtedy właśnie takie samo, jak dzisiaj...

— A potem? — twarz Emilii przybrała wyczekujący wyraz.

— To koniec bajki — uśmiechnął się melancholijnie. — Kiedy oderwałem się wreszcie od bursztynowej soczewki, zszedłem z dachu na strych, wyjąłem z ukrycia całą kolekcję kolorowych szkiełek, zawinałem wszystkie w starą gazetę i wyrzuciłem na śmietnik.

— Dlaczego?

— Widzisz, w szkłe świat ma po prostu inny kolor, lecz jest ten sam.

— A bursztyn?

Nagle zmieszany rozejrzył się wkoło, jakby szukając oparcia dla zmęczonych, podkrążonych oczu.

— Tam, Emi, zobaczyłem dopiero wtedy, patrząc pod słońce... zobaczyłem niewyraźny zarys owadzich skrzydeł... skrzydeł ważki z paleogenu.

— I co się z nim stało... 2 bursztynem?

— Przepadł gdzieś — odparł. — Człowiek staje się przecież dorosły.

— Smutne.

Ostrożnie położył rękę na jej ramieniu.

— Wracamy do domu — powiedział. — Musimy zdążyć przed zmrokiem.

— Musimy?

— Wiesz sama.

Emilia wsunęła swoją dłoń między jego twarde palce i poszli obok siebie.

— Niedługo powinny pojawić się gwiazdy? — z drzeniem w głosie zapytała Emi.

Nie odpowiedział, tylko przyspieszył jeszcze kroku.

Słońce świeciło na nich z boku resztką wygasającej czerwieni i po przeciwległej stronie padał na ziemię jeden tylko, rzucany przez mężczyznę cień.

Wzgórza okalające dolinę jeziora ustąpiły miejsca płaskiej równinie, gdzie początkowo rozsiane daleko jedna od drugiej wysepki kolczastej jeżyny skupiły się po kilkuset metrach tworząc zielonkawę, z podcieniem nocnej czerni pasmo zarośli. Gdzieś 'tam stał ich dom. Dom starszy niż olszyny znad jeziora. Szli w wysokiej trawie, rozgarniając rękoma wyschlę, pamiętające zeszłoroczną jesień żdzbla, obchodząc karłowate brzozy i wiecznie trzepoczące listowiem osiki. Czasami przed ich oczyma wspinały się w niebo pionowe maszty sosen o pniach jak sekwoje pozbawionych u dołu gałęzi i dopiero gdzieś wysoko rozrastających się gęstą koroną. Sosny stały pośrodku polanek wytyczonych opadłym igliwem, które tłumilo trawę, nie dopuszczało w pobliże pachnących żywicą olbrzymów wiotkiej, białymi plamami odcinającej się z tła innych krzewów brzeziny. Jedynie mech wypełzał na odkryte miejsca, nastroszonymi płatami docierał aż do podnóża pni i oblepiał wylazłe z ziemi, sękatę korzenie.

— Pokażę ci jutro wapienne skały na wschodnim brzegu jeziora — mówił idąc przed siebie. — Dawno temu, kiedy błąkałem się tutaj samotnie, znalazłem tam ląbedzie gniazda, widziałem olbrzymie ptaki. Każdego dnia wczesnym rankiem wypływały na jezioro, aby wieczorem znów wracać do ukrytych w skalnych wnękach gniazd.

— I ja też je zobaczę?!

— Jeszcze więcej — powiedział ciesząc się jej dziecinnym zachwytem. — O tej porze ze złożonych w gniazdach jaj wykluwają się młode pisklęta.

Nachylił się, aby zobaczyć, jakie wrażenie wywarły na niej jego słowa.

Emi patrzyła na niego rozszerzonymi źrenicami oczu, które gdzieś na dnie czarnych węgli zataiły bezgraniczne zdumienie.

— Nie cieszysz się?

— Ależ tak — odparła z roztargnieniem.

Poczuł na skroniach chłodne muśnięcie wiatru.

— Nie... cieszysz się? — powtórzył z wysiłkiem pokonując drżenie głosu.

— Ależ tak! Nie rozumiesz?... Zawsze byłeś małym głuptasem. Chodź, powiem... powiem ci, gdy będziemy w domu.

— Dlaczego dopiero tam?

Pociągnęła go za rękę.

— W domu, żeby one... nie mogły już nic zrobić.

— Kto? — zapytał i w tej samej chwili poczuł chłód w piersi: wiedział kto.

Porwał Emilię na ręce i nie zważając na protesty, 'nie czując prawie ciężaru zaczął pędzić przed siebie, gnać między cieniami drzew, pod wyciągniętymi zewsząd kiściami gałęzi. Musiał jak najprędzej wyrwać się spod coraz natarczywszego spojrzenia przesiąkających przez granat nieba gwiazd.

Kilka razy potknął się jeszcze na kamieniach oplecionych korzeniami karłowatych brzoź i zatrzymał się przed wolną od zarośli przestrzenią.

Ich dom stał na zboczu niewielkiego wzniesienia, ze wszystkich stron otoczony rozkołysaną zielenią łąki. Stał przysadzisty, jakby wyrosły z ziemi bielonymi ścianami, połyskującymi w półmroku szybami okien, dachem krytym poczerniałym ze starości gontem. Daleko, jak okiem sięgnąć, we wszystkich kierunkach ciągnęły się siniejące w zmierzchu zarysy pól i lasów, lecz nigdzie nie zabłysło światło w oknach innych domów, nigdzie nie przecinały równiny proste wstęgi dróg. Nawet przed ich domem nie odcisnął się w trawie najwęższy ślad wydeptanej ścieżki. Przyciskając do piersi skuloną Emilię począł wstępować na wierzchołek wzgórza, aż okap dachu odgrodził ich od nieba. Wtedy przed progiem dębowych drzwi ostrożnie opuścił Emilię na ziemię.

— Czy już możesz powiedzieć? — zapytał.

— Powinieneś sam się domyślić.

Emi oparła się ręką o framugę drzwi.

— Skąd mógłbym wiedzieć?

— Jaki z ciebie głuptas — powiedziała po raz nie wiadomo który. — Przecież ja dawno...

Otoczyła jego szyję rękoma i zaczęła szeptać prosto do ucha, aż poczuł jej gorący oddech na karku.

— Rozumiesz? — zajrzała mu w oczy. — Już nigdy, nigdy nie będziemy sami...

Od ścian promieniowało ciepło, przez słońce południa wciśnięte pod biel wapna.

Krew zaczęła z powrotem pulsować w jego zdrewniałych od napięcia dłoniach. Oderwał palce od drżących pleców Emilii i chwytając ją żelaznym uściskiem za ramiona odepchnął od siebie z całej siły.

Z jękiem zatoczyła się na ścianę.

— Mój syn — wyszeptał.

— Mój... syn! — powtórzył.

I nagle zaczął się śmiać. Zachłysnął się chrapliwym, szalonym śmiechem.

Wyciągnął ręce rozwartymi palcami w stronę gwiazdzistego nieba i czerwonych, martwych skał.

— Cha-cha! Cha-h... Mam mieć syna! Cha-cha-a-h...!!

Przekrwionymi z nienawiści oczyma wpatrywał się w gruboziarnisty, suchy żwir, odpryskami gwiazd skrzący się jak szklany gruz, w skalne rumowisko, co rozwierało plujące czernią gardziele wawozów. Zachłannym spojrzeniem ogarniał dymy — strugami szkarłatu snujące się między skrzepami wyżarzonych, nie znających barwy życia kamiennych brył. Wpijał w nie wzrok, chcąc na zawsze zamknąć w pamięci obraz obcego, w gwiezdny pył zagubionego światła i śmiał się, śmiał ciągle nad sobą, nad martwą pustynią i próżnią, która tu go przywiodła. Był znowu sam. Sam.

Zakrzuszył się wreszcie tym nieporadnym wyzwaniem śmiechu, które odważył się rzucić przeciw ogniom wbitym w niebo, i szlochając upadł twarzą na zardzewiały bok rakiety. Rakieta, gwiezdny statek, jego dom — obłamany ze sterów, rozpruty skalnym zrębem, żelazny złom. Prawdą było tylko ciepło słońca promieniującego z burty nagrzaney w czas południowego skwaru.

Długo tulił się do boku rakiety wstrząsany tłumionym przez zaciśnięte zęby łkaniem. Dopiero gdy uspokoił się nieco łomot jego serca, oderwał od wybrzuszonej blachy czoło naznaczone czerwonym piętnem zlepionej potem rdzy i jak ślepiec prowadząc ręce wzdłuż strawionych korozją nitów dotarł do uchylonej klapy wjazdu. Z ciemnego otworu powiało gorącym, dusznym zapachem rdzy. Zacisnął powieki i powiedział załamującym się jeszcze głosem:

— Wybacz... Emi. Nie chciałem... nie chciałem ci sprawić bólu...

Zaskrzypiały masywne, dębowe drzwi.

— Wybacz i wejdź — był już zupełnie spokojny. — Wejdź, przecież znowu jesteśmy w domu... razem.

Emi spojrzała na niego smutnymi oczyma błękitnych, dalekich gwiazd, usłuchała prośby i jednocześnie przestąpili próg. Znowu byli razem, lecz zmurszałe deski podłogi prowadzącej w głąb domu zaskrzypiały pod jednym tylko ciężkim, męskim krokiem.